

200 MILIONÓW

POWODÓW REKORDOWEJ OFERTY.

POLO/RABAT
11 000 zł

PASSAT/RABAT
20 000 zł

TIGUAN/RABAT
22 000 zł

JETTA/RABAT
14 000 zł



**Liczba aut
ograniczona.**

Wyprodukowaliśmy 200 milionów pojazdów!

Z tej okazji tylko do końca października możesz kupić wybrane modele Volkswagena z rekordowymi rabatami.

**Sprawdź ofertę w salonach i dołącz do 200 milionów
zadowolonych klientów!**

W zależności od wariantu i wersji zużycie paliwa w cyklu łączonym od 3,4 l/100 km do 8,5 l/100 km, emisja CO₂ od 88 g/km do 198 g/km. Informacje dotyczące odzysku i recyklingu pojazdów wycofanych z eksploatacji na stronie www.volkswagen.pl.



Das Auto.



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

ślawomir mizerski z życia sfer

W imię ojca

Panie redaktorze, piszę, gdyż – podobnie jak polscy biskupi – jestem zaniepokojony sposobem, w jaki w przygotowanym przez MEN elementarzu została przedstawiona rola ojca. Zgadzam się z biskupami, że jest to rola jątrząca i obraźliwa. Fakt, że ojciec pomaga w pracach domowych oraz czyta książki dzieciom, uważam za tendencyjny, bo przecież wychowanie polega na tym, że jak dziecko chce, to niech samo sobie poczyta albo poprosi matkę. Czy przypadkiem do tak pokazanego ojca nie próbuje się społeczeństwa zniechęcić? Nie chcę być złym prokiem, ale obawiam się, że gdybym moim dzieciom zaproponował, że poczytam im książkę, tobym je tylko wystraszył i uciekłyby do matki, dając jej w ten sposób kolejny pretekst do zarzucenia mi, że znajduję się pod wpływem alkoholu. Po co ukazywać ojca pomagającego w pracach domowych, skoro

w naszej cywilizacji chrześcijańskiej prace te od wieku wieków wykonują matka, córki i babki, i jest to tradycja, której chyba należy się trochę szacunku? Rozumiem, że w opinii ateistów i palikotów najlepiej całą robotę zwalić na ojca, a może i dziadka, którego los jest niełatwy, bo z tego, co wiem, na jednej z ilustracji w elementarzu biedak chwije się, podlewając kaktusa. Nawiasem mówiąc, ukazanie chwijącego się starszego człowieka to moim zdaniem pójście na łatwiznę i nadużycie, bo przecież nie można wykluczyć, że posiada on rentę i chwije się za własne pieniądze, a poza tym mimo iż nie jest mu łatwo (bo się chwije), to jednak polewa.

Dziwi mnie publiczne stwierdzenie pani minister z MEN, że pomaganie w pracach domowych i czytanie dzieciom „w żaden sposób nie deprecjonuje roli ojca”. To opinia krzywdząca i ciekawi mnie, skąd ta pani może to wiedzieć i czy zasta-

nowiła się, co czują ojcowie, gdy coś takiego słyszą? Słusznie, że biskupi, wśród których przecież też jest wielu ojców, przypominają, że w kulturze chrześcijańskiej ojcowie w pracach domowych nie pomagają i książek dzieciom nie czytają, bo w tej kulturze ojcowie mają ważniejsze rzeczy do roboty.

Szkoda, że wspomniany elementarz, zamiast szerzyć określone wartości, usiłuje lansować hedonizm i konsumpcyjny styl życia w postaci wspólnego ubierania choinki, wypiekania pierników czy kupowania prezentów na Boże Narodzenie, które żadnym Bożym Narodzeniem nie jest, bo zamiast Jezusa przeważają w nim niebezpieczne wątki magiczne. Zgadzam się z biskupami, że przedstawiony w elementarzu świat, w którym jest miejsce dla raka, ślimaka, konika i smoczej rodziny, a dla Jezusa nie, jest kompletnie oderwany od naszej rzeczywistości i nie warto się o nim uczyć.



felieton



WÓLCZANKA

sklep online: wolczanka.com.pl
[Kup książkę](#)



© REUTERS/FORUM

Granice wytrzymałości

W 2023 r. Turcja przestanie istnieć, przynajmniej w obecnym kształcie. Takie obawy podziela spora część jej mieszkańców, uczulona na punkcie traktatu z Lozanny. Według popularnej nad Bosforem teorii spiskowej zawiera on tajną klauzulę ograniczającą jego obowiązywanie do 100 lat. W 1923 r. traktat ustalił granice państwa, które powstało na gruzach imperium osmańskiego. Trzeba dodać, granice zupełnie nowe. Jedną z nich jest ta, której teraz za żadne skarby nie chce przekroczyć turecka armia – mimo że zaraz po drugiej jej stronie zbliża się katastrofa.

Od połowy września siły tzw. Państwa Islamskiego (PI) oblegają **Kobane**, kurdyjskie miasto w Syrii, zaraz przy granicy z Turcją. Zginęło już ponad 500 obrońców, z miasta i okolic do Turcji uciekło ponad 200 tys. osób. Jeśli islamisci wejdą do Kobane, może dojść

do masakry pozostałych w nim kilku tysięcy Kurdów. Amerykańskie bombardowania na razie powstrzymały ofensywę PI, ale bez wsparcia sił lądowych los miasta wydaje się być przesądzony. Dla tego międzynarodowe, w tym amerykańskie, oburzenie wzbudza beczynność Ankar, szczególnie, że kilkadziesiąt tureckich czołgów stoi zaraz przy granicy, w odległości strzału od oddziałów PI.

Turcy bronią się przed interwencją z kilku ważnych geopolitycznych powodów. Boją się wesprzeć kurdyjskich obrońców powiązanych z PKK, kurdyjską partyzantką, która toczy wojnę z Ankarą od 1984 r. Ale mają też mniej racjonalne powody. Jeśli za dziewięć lat wszystkie tureckie granice mają stracić ważność, interwencja w Kobane mogłaby się okazać krokiem lekkomyślnym.

Więcej na stronie: www.polityka.pl/swiat

Rumuńska Norymberga

Pprzed sądem w Bukareszcie toczy się proces **Alexandru Visinescu**, dziś 89-latką, a na przełomie lat 50. i 60. komendanta więzienia w miejscowości Rymnik (rum. Râmnicu Sărat). Kierowana przez niego instytucja była nazywana „więzieniem ciszy”. Osadzonym intelektualistom, duchownym i innym wrogiom reżimu zabraniano rozmów i podchodzenia do ścian, by uniemożliwić komunikację przy użyciu kodu Morse’a. Prokuratorzy oskarżają byłego komendanta o ludobójstwo. Miał bezpośrednio przyczynić się do śmierci 12 więźniów i sprzyjać stosowaniu tortur; jego podkomendni bili, głodzili i przetrzymywali więźniów w zimnie.

Visinescu jest pierwszym tak wysokim rumuńskim funkcjonariuszem komunistycznego aparatu represji pociągniętym do odpowiedzialności. Sprawa jest więc przełomowa i nazywana „rumuńską Norymbergą”. W Rumunii ofiarą komunistów padło ponad pół miliona osób. Pokrzywdzeni, a teraz coraz częściej ich potomkowie, nie doczekali się wymierzenia sprawiedliwości dawnym oprawcom, mimo że od obalenia Nicolae Ceaușescu upłynęło niedługo ćwierć wieku. Prokuratorzy zapowiadają przyspieszenie: prowadzą śledztwa przeciw kolejnym 35 byłym funkcjonariuszom i wielu z nich, tak jak komendantowi Visinescu, grozi kara dożywotniego pozbawienia wolności.



© NEW YORK TIMES

Prywatnie oskarżony

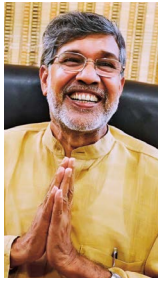
W ojczyźnie został powitany przez tańczące tłumy, choć trudno mówić o powodach do chwały: Uhuru Kenyatta jest pierwszym urzędującym prezydentem, który pojawił się na własnym procesie przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym w Hadze. Prokuratorzy oskarżają Kenijczyka, że po wyborach w 2007 r. podlegał własny lud Kikuju do przemocy wobec plemion Luo i Kalendzin – w walkach zginęło 1,2 tys. osób, a 600 tys. musiało uciekać z domów. Kenyatta zaprzecza wszystkim zarzutom i twierdzi, że przed Trybunałem odpowiadał dobrowolnie jako osoba prywatna, bo na czas podróży do Europy przekazał swoje obowiązki wiceprezydentowi.

Przeglądanie wstępne zostało zawieszone, bo prokuratorzy nie potrafili przedstawić sędziom wystarczających dowodów do rozpoczęcia procesu. Śledczy twierdzą, że władze w Nairobi z nimi nie współpracują, odmawiają wydania nagrań telefonicznych i raportów bankowych, które potwierdzałyby zaangażowanie Kenyatty w organizację zamieszek, a także zastraszają świadków – aż siedmiu z nich wycofało swoje wcześniejsze zeznania.

Nagroda podnoszenia

Jaki pożytek płynie z Pokojowych Nagród Nobla?

Barack Obama (laureat z 2009 r.), którego uhonorowano za wysiłki na rzecz rozbrojenia nuklearnego, właśnie ogłosił, że USA zainwestują w rozwój swojego arsenału atomowego aż bilion dolarów. Rządzonej przez **Ellen Johnson-Sirleaf** (Nobel 2011 r.) Liberii nie oszczędza epidemia eboli, potwierdzono tam już rekordowe 2,3 tys. zgonów. Razem z Johnson-Sirleaf jako pierwszą Arabkę w historii nagrodzono dziennikarkę **Tawakkul Karman**, jedną z przywódczyni rewolucji 2011 r. – owocem tamtego buntu, oprócz usunięcia wieloletniego dyktatora, jest pogłębiający się chaos, przez co swoje wpływy w kraju zachowała Al-Kaida i odsunięty prezydent. W **Unii Europejskiej** (2012 r.) furorę robią ruchy nacjonalistyczne. Rozbrojenie chemiczne wciąż jeszcze trwa (**Organizacja ds. Zakazu Broni Chemicznej**, 2013 r.). Laury dla Liu Xiaobo (2010 r.) niczego nie ruszyły w Chinach, sam laureat nadal przebywa w więzieniu. Nagroda dla **Martiego Ahtisaari** (2008 r.) za skuteczne mediowanie w konfliktach zbrojnych nie powstrzymuje wybuchu nowych wojen



i wojenek. **Al Gore** (2007 r.), tak jak cała ludzkość, nie daje rady powstrzymać zmiany klimatu. Podobnie pogrymasić można by nad prawie każdym z ponad stu pokojowych wyróżnień.

Jednak nie ma co oczekiwać od Nobli zbyt wiele. Nie zmieniają rzeczywistości, raczej podnoszą rangę często

niedostrzegalnych problemów oraz przydają popularności dzielnym i szlachetnym rzecznikom ich rozwiązania. Liberia może nie radzić sobie z epidemią, ale **Leymah Gbowee**, rodaczka Johnson-Sirleaf i z nią nagrodzona, potrzebowała tej nagrody, by ktokolwiek chciał słuchać o gehennie dziewczynek w Afryce Zachodniej: skrajnej biedzie, gwałtach, prostytucji i wczesnym macierzyństwie.

W tym roku wyborowi nie towarzyszą kontrowersje, bo zamiast polityków, uhonorowanych za zakończenie wojny wywołanej przez innych polityków, dostrzeżono tych, którzy na co dzień czynią pokój, bronią praw dzieci: zesłoroczną faworytkę, uczennicę **Malalę Yousafzai**, najbardziej rozpoznawalną Pakistankę, i **Kailasha Satyarthiego** z Indii – już nie anonimowego.

Norki z górki

Tanieją skóry norek. Na ostatnich aukcjach w Kopenhadze, wyznaczających trendy w handlu martwymi norkami, płacono za sztukę równowartość ok. 140 zł, prawie dwa razy mniej niż przed rokiem. Z przeceny cieszą się organizacje domagające się zakazu fermowej hodowli zwierząt futerkowych. Widzą w tym znak, że załamuje się światowe zapotrzebowanie na norki, wynoszące 80 mln skór rocznie.

Czy to faktycznie zapaść? Nic podobnego, odpowiadają hodowcy i handlarze. Owszem, rynek dostał zadyszki, bo magazyny są pełne, wiosną pękła też futrzarska bańka spekulacyjna, a Chińczycy pod wpływem ogromnej kampanii antykorupcyjnej ograniczyli zakupy towarów luksusowych, jednak interes kręci się zaskakująco dobrze. I to mimo dekad zachęt rozmaitych aktywistów, by ulitować się nad norkami i wybrać inne rodzaje okryć. Z naturalnych futer nie rezygnują nawet wielkie domy modowe, wrażliwe na europejskie czy amerykańskie gusta. I jak każdej jesieni futrzarze liczą, że w Chinach i w zakochanej w futrach Rosji zima będzie ostrzejsza niż poprzednia. Mróz może poprawić sytuację branży, ale norek niestety nie.

Raz, dwa, trzy, do Komisji nie pójdziesz ty!



Ignacy Niemczycki

Pierwszym ważnym zadaniem wybranych w maju europosłów jest zatwierdzenie nowej Komisji Europejskiej. Według traktatów parlament nie może zablokować pojedynczej kandydatury, ale przepisy dają mu możliwość odrzucenia składu całej Komisji. W praktyce, jeśli nie zaakceptuje jakiegoś kandydata, szef Komisji zwraca się do państwa, które go wystawiło, o wskazanie innej osoby – by uniknąć odrzucenia całego składu. W 2004 r. Strasburg zablokował nominację Włocha Rocco Buttiglione oraz Łotyszki Ingridy Udre. Pięć lat później upadła kandydatura Bułgarki Rumjany Żelewey.

Kontrowersyjnych kandydatów na komisarzy w zespole Jeana-Claude'a Junckera było aż nadto. Z różnych powodów – ideologii, konfliktów interesów, braku kompetencji – kwestionowano co najmniej sześć nominacji w nowej Komisji. Ale przesłuchania kandydatów zaczęły się spokojnie. Chadezy i socjaldemokraci, którzy są skazani na współpracę w Parlamencie Europejskim, zawarli pakt o nieagresji. Nominacji stolic

na komisarzy bez większych problemów uzyskiwali akceptację Strasburga.

Ciekawie zrobiło się trzeciego dnia przesłuchań. Kłopoty Tibora Navracsicsa były do przewidzenia – Węgier tworzył ideologiczne zaplecze Fideszu. Ale polityczną równowagę zachwiała dopiero odłożenie decyzji w sprawie nominacji chadeka Miguela Ariasa Cañety z Hiszpanii. Socjaldemokraci wytknęli mu seksistowskie uwagi i powiązania z firmami naftowymi. W odpowiedzi chadezy wstrzymali akceptację Francuza Pierre'a Moscovicio, który ma nadzorować budżety państw członkowskich, a jako minister finansów Francji doprowadził do zwiększenia zadłużenia. Wielka koalicja zawisła na włosku.

Nic jednak nie cementuje porozumienia tak jak wspólny wróg. Apetyt europosłów na głowę komisarza zaspokoila w końcu Alenka Bratušek – liberałka. Słowenka do Komisji nominowała samą siebie. Ale przepadła, bo nie należy do żadnej z dwóch największych grup politycznych – chadeków i socjaldemokratów. Kandydaci na komisarzy z tych ugrupowań uzyskali poparcie europosłów, choć niektórzy na przesłuchaniach wypadli równie słabo co Bratušek. Zaspokojeni utraceniem

kandydatury Bratušek, europosłowie szybko zatwierdzili Cañetę i Moscovicio, co do których mieli wcześniej wątpliwości.

Przesłuchania kandydatów na komisarzy, pomijając polityczne rozgrywki, niestety potwierdziły, że nowa Komisja jest nierówna. Rozczarował na przykład Günther Oettinger. Niemiec ma być odpowiedzialny za cyfryzację Europy, a w swoim wystąpieniu przedstawił wizję rozwoju rynku IT godną poprzedniej dekady. Na tym tle nieźle wypadła Elżbieta Bieńkowska – podczas przesłuchania zabrakło jej politycznego instynktu i zwykłej eurorutyny, ale w przeciwieństwie do wielu kandydatów wykazała się znajomością obszaru, którym ma się zajmować. Nie wypadła tak dobrze jak Holender Frans Timmermans, który zachwycił znajomością pięciu języków, ale jej kandydatura nie wzbudziła żadnych kontrowersji.

Zmiany w składzie nowej Komisji mogą opóźnić przejście władzy w Unii przez zespół Junckera. Ale nie będą miały znaczącego wpływu na kształt unijnej polityki. Strasburg skupiając się na politycznych rozgrywkach, zaprzepaścił szansę odzyskania politycznych wpływów, jakie w ostatnich latach utracił na rzecz stolic.

Autor jest analitykiem POLITYKI INSIGHT



© MP

Gorące limuzyny

Dowódca generalny Lech Majewski zaledwie kilka dni cieszył się nowym służbowym autem. Było czym się cieszyć, bo przesiadł się z opla insigni do luksusowej wersji **audi A6**. Za tę limuzynę trzeba było zapłacić 230 tys. zł. Drugi taki sam samochód miał trafić do dowódcy operacyjnego. Samochody dla najwyższych dowódców kupował Inspektorat Wsparcia Sił Zbrojnych, a żeby przetarg za bardzo nie rzucał się w oczy, realizował go za pośrednictwem 12 Wojsko-

wego Oddziału Gospodarczego w Toruniu. Sprawa wyszła na jaw, kiedy dowódca generalny zaczął pojawiać się w swojej luksusowej limuzynie. Zakup samochodów za prawie pół miliona złotych postawił w bardzo trudnej sytuacji jeżdżącego wysłużonym mercedesem Tomasz Siemoniaka, wicepremiera i ministra obrony narodowej, który walczy właśnie o dodatkowe pieniądze na zakupy dla wojska. – *Próbujemy przekonać społeczeństwo, że dodatkowe 800 mln zł dla wojska to świetny pomysł, a oni kupują limuzyny. Trzeba naprawdę mieć słaby kontakt z rzeczywistością, żeby zrobić coś takiego* – mówi

jedna z osób zbliżonych do MON. Suchoj nitki na zakupach nie zostawia również poseł Stanisław Wziątek, wiceszef sejmowej Komisji Obrony Narodowej: – *Szkoda, że z zakupami uzbrojenia dla armii nie idzie tak gładko, jak poszło z przetargiem na te limuzyny.*

Sprawę luksusowych samochodów próbowano wyciszyć, wywołując je za granicę. Ale szybko zrobiło się o nich głośno w wojsku, w którym standardem są ople i skody. – *Obydwa samochody zostaną przekazane polskim przedstawicielom przy zagranicznych placówkach NATO. Z pewnością będą im dobrze służyły i podnosiły ich prestiż. Generał Janusz Bojarski komendant NATO Defence College w Rzymie korzystał dotychczas z wysłużonego passata – mówi Jacek Sońta, rzecznik MON.* Sprawa limuzyn pokazuje, że wojskowi nie tylko lekko podchodzą do pieniędzy podatnika, ale też nie uczą się na własnych błędach. W marcu 2011 r. wydarzył się podobny skandal, kiedy Inspektorat Wsparcia kupił 20 terenowych land roverów discovery po 250 tys. zł za sztukę. Po ujawnieniu tamtej afery samochody przez kilka miesięcy stały nieużywane, bo nikt nie chciał mieć w tabloidzie zdjęcia w jednym z nich. (JUL)

Co z tą trzustką?

Śmierć aktorki Anny Przybylskiej z powodu raka trzustki to dowód na to, jak bezradna bywa medycyna wobec chorób, których nie można wcześniej rozpoznać lub które z powodu swojej lokalizacji postępują szybko i agresywnie. Właśnie dlatego nowotwory trzustki należą do najbardziej śmiertelnych – ze statystyki wynika, że 5 lat przeżywa zaledwie 5 proc. chorych. Dolegliwości są niespecyficzne: bóle brzucha, nudności, utrata apetytu. Wiele zależy od lokalizacji – gdy guz umiejscowi się w ogonie trzustki, mogą pojawić się dyskretne objawy cukrzycy; jeśli w głowie trzustki – dochodzi do żółtaczki, co jest o tyle korzystne, że zaniepokojony pacjent szybciej zgłasza się do lekarza, a ten powinien go wtedy jak najprędzej skierować na tomografię komputerową. W polskich warunkach czeka się na nią jednak nierzadko 6 tygodni.

Aby wykryć raka w bardziej dostępnym badaniu USG, trzeba mieć szczęście, bo wiele zależy od tego, czy głowica aparatu zostanie przyłożona do miejsca, gdzie rozwija się guz (w dodatku nie mniejszy niż 1 cm). Dlatego do każdego USG jamy brzusznej trzeba się dobrze przygotować: przed badaniem należy wypielęgnować pęcherz moczowy i nic nie jeść, ale – o czym wie mało kto – nie wolno również palić papierosów ani żuć gumy. Palenie zwiększa wydzielanie soku żołądkowego, podczas żucia gumy łykamy powietrze – jedno i drugie zaciemnia obraz.

Najskuteczniejszą metodą leczenia jest wycięcie guza, choć to zabieg trudny. Chirurgię wspomaga radioterapia i chemioterapia, w której ostatnio nastąpił jedyny postęp. Nowa formuła starego leku paklitakselu poprzez związanie go z albuminą lepiej wchłania się w samym guzie nowotworowym, więc słabiej atakuje zdrowe tkanki. Jednocześnie warto zauważyć, że dzięki kombinacjom leków dwukrotnie więcej pacjentów niż dotychczas może żyć 2–3 lata. Przy dramatycznej śmiertelności w tej chorobie od dawna czekało na ten drobny sukces.

PAWEŁ WALEWSKI



© BARTŁOŚCIEŻ ZBOROWSKI/PAP

Mila i Milik – krok milowy

Kłątwa została zdjęta. 11 października 2014 r., pierwszy raz w historii, Kwygraliśmy w piłkę z Niemcami. Kibice i sami piłkarze doznali najpierw osłupienia, które potem przeszło w euforię stosowną do okoliczności: bo jeśli pokonuje się mistrza świata, to znaczy, że się jest wyżej mistrza świata, czyli już naprawdę nie wiadomo kim. Po raz kolejny w tym roku polskim sportowcom przydarzył się sukces nadzwyczajny. Już przy okazji olimpijskich medali w Soczi, tytułu dla siatkarzy czy mistrzostwa świata Michała Kwiatkowskiego pisaliśmy, że te seryjne zwycięstwa mają jakiś „niepolski” charakter, bo symbolem „polskiego” zwycięstwa przez dekady pozostawał złoty skok Fortuny i szczęśny remis na Wembley. Zwykle do zwycięstw brakowało pewności siebie, szczęścia, zgrania, coś umykało w ostatniej chwili – ot, polski pech.

Pokonanie Niemców można więc uznać za symboliczne zakończenie epoki płacziwej w polskim sporcie, a może nawet – patrząc, jak ważny jest sport dla narodowego samopoczucia – za „krok milowy” w przebudowie polskiej mentalności (**Mila, Milik** to strzelcy zwycięskich bramek). Teraz już wszystko wydaje się możliwe i osiągalne: nawet to, że Legia zagra w przyszłym roku w Lidze Mistrzów, a reprezentacja dotarłszy do mistrzostw Europy, w końcu wyjdzie z grupy. No dobrze, tu może trochę przesadziliśmy, ale w końcu z Niemcami wygrywa się tylko raz.

(J)



Materiały eksplozywne

Czas na zmiany – z tym hasłem prezes Jarosław Kaczyński objeżdża Polskę w ramach kolejnych weekendowych konwencji swej partii. Ma objechać, z udziałem swych współpracowników, wszystkie powiaty, bo jego partię jak zwykle dyskryminują media i sprowadzają debatę do tematów mało poważnych. Tu trzeba przyznać przesowi trochę racji. Jeśli mielibyśmy jakoś podsumować cztery zagraniczne wizyty pani premier, to zapewne w medialnych debatach ostatek się z nich czerwony dywan w Berlinie, gdzie premier Kopacz na moment pomyliła kierunek marszu. W tej kwestii wypowiedzieli się już chyba wszyscy ważni eksperci od ceremoniału wizyt rządowych. Prezes nie musi jednak narzekać, że on sam jest mało widoczny, kamery śledzą go wszędzie, mimo że mniej więcej dwa razy w tygodniu powtarza to samo: Polska to kraj, który już ledwo dyszy, przysięgnięci obecnymi rządami jak workiem kamieni, który trzeba zrzucić, aby rozwój był „eksplozywny”. I to, oczywiście, zapewnić może tylko wielkie zwycięstwo PiS. Prezes daje nawet przykłady. Ostatnio, przy okazji wizyty w Gorzowie, zwrócił uwagę, że tuż za Odrą jest kraj, który kwitnie. Niestety, tak się składa, że tuż za Odrą, na terenach dawnego NRD, ten eksplozywny rozwój jest raczej mało widoczny. Przy eksplozywnym rozwoju, który przyniesie wiele zmian, warto jednak pomyśleć o jakimś odcinku, gdzie panować będzie stabilizacja. Stabilizacja będzie zaś na odcinku kierowania PiS, a może i Polską, jeśli Kaczyński w końcu jakieś wybory wygra. Prezes zapowiedział, że będzie rządził do 2023, a może nawet do 2027 r., co niewątpliwie zapewni najgłębszą z możliwych stabilizację, rodzi jednak wątpliwości w kwestii zmian.

Hasłem, że czas na zmiany, najbardziej przejęli się polscy piłkarze i pokonali Niemców, w dodatku na Stadionie Narodowym, co ma swoją patriotyczną wymowę, niezależnie od powszechnej, euforycznej radości. Historyczne zwycięstwo, jak je nazwano, przesłoniło kilka partyjnych konwencji, a może nawet całe życie polityczne, co można uznać za okoliczność w gruncie rzeczy polityce przyjazną. Przecież gdybyśmy nie komentowali zwycięstwa nad Niemcami, pewnie trzeba byłoby zauważyć i odpowiednio głęboko zanalizować nie tylko ów czerwony dywan w Berlinie, ale także mnóstwo innych wypowiedzi, choćby na temat zegarka i mandatu posła Sławomira Nowaka oraz tezy Jarosława Gowina, że „Kopacz zbliżyła się do Palikota”, co niesie groźbę lewicowej, wręcz lewackiej rewolucji ideologicznej. Może nawet poważniej potraktowano by głośno wreszcie wyrażoną niezgodę biskupów na nowy elementarz,

w którym rodzina była czasem niepełna: z dziadkiem oraz ojcem coś nie tak. Rzeczywiście, głosu biskupów w kwestii elementarza bardzo nam dotychczas brakowało. Znamy stosunek do gender, in vitro i wielu innych kwestii światopoglądowych, a trwaliśmy w niewiedzy, co też groźnego płynie z nowego elementarza. Teraz już wiemy, choć na razie nie wiemy, czy to nowy front walki ideologicznej, czy tylko wyrażenie pełnej troski opinii? Elementarz jest bezpłatny, co wielu rodzicom się jednak podoba, i co teraz? Zabierać go? Więcej o sprawie będziemy wiedzieli, gdy wezmą się za nią politycy. Na razie elementarz nie wszedł jeszcze w pełni do gry wyborczej.

Zanim jednak doczekamy eksplozywnego rozwoju, warto, zgodnie w hasłami i duchem czasu, odnotować „radykalną zmianę” – tak określili rzecz socjologowie – wizerunku pani premier. Okazuje się, że po exposé w kategorii „kompetencje” zyskała aż 21 punktów, w „sile i zdecydowaniu” – 17, w ocenie skuteczności – 9, a poziom zaufania do niej wzrósł o 5 proc. Jak na początek to nieźle. Platforma nie ma jednak powodu, by świętować zwycięstwo, choć w sondażach wróciła na prowadzenie. Z trudem budzi się ze snu i ciągle zbyt wiele w niej ospałej partii władzy. Widać jednak, że PiS nie daje sobie rady z panią premier, która w żadne polemiki i utarczki nie wchodzi, robi swoje, zwraca się głównie do własnej partii i wyborców.

Ten kłopot z Ewą Kopacz i jej rządem dość dobrze pokazała pierwsza sejmowa debata budżetowa, która toczyła się wedle utartych schematów, choć jako jedna z najważniejszych mogła stanowić okazję do zmiany języka i argumentów. Tym bardziej że minister finansów Mateusz Szczurek (właśnie uznany za najlepszego europejskiego ministra finansów, podobnie jak Jacek Rostowski w latach 2009 i 2010) o budżecie opowiedział ciekawie, dość prosto, językiem zrozumiałym dla obywateli, a nie tylko dla specjalistów. Tymczasem głosy opozycji były rodem z poprzedniego okresu: rządowi za wszelką cenę trzeba przyłożyć, bez znaczenia z sensu czy bez sensu. Wiadomo, że opozycja budżetu nie poprze, ale może pokazać swój sposób patrzenia na najważniejsze kwestie, swoje propozycje. Niczego takiego nie pokazała, przywołała jedynie stare hasła i zaklęcia.

Najwyraźniej sporo czasu musi upłynąć, zanim nasza polityka oswoi się z nową sytuacją: bez Tuska i z nową premier (czytaj s. 14). Jak długo premier Kopacz uda się

utrzymać taki stan obniżonego napięcia emocjonalnego w polityce? Czy będzie on działał na korzyść Platformy? Czy PiS potrafi znaleźć nowy sposób opisu polskiej rzeczywistości? Czy da szansę innym podmiotom politycznym? Być może widzimy dopiero początek procesu prawdziwej zmiany, niekoniecznie polegającej na tym, że dwie główne partie słabną i rodzą się nowe, ale że rodzi się inny sposób uprawiania polityki. Na dobrą sprawę Ewa Kopacz jest pierwszym premierem, który nie niesie całego bagażu przedmiejowej Solidarności, obrad Okrągłego Stołu, ówczesnych sporów i zadanych sobie wzajemnie razów, które właściwie przez całe 25-lecie znaczą polską politykę. W tym sensie należy do innego politycznego pokolenia, pokolenia, które bez obciążenia może rozmyślać o przyszłości. Podobnie jest z jej rządem.

Ciężar sporów o przeszłość, nawet niekoniecznie tę dawną, być może w sposób naturalny weźmie na siebie teraz prezydent Bronisław Komorowski. Także dlatego, że po wyborach samorządowych następne są prezydenckie, gdzie wprowadzić kandydatów do wygrania z Komorowskim brak, ale chętnych do doprowadzenia choćby do drugiej tury nie brakuje. Zapowiedź już mamy, a niesie ją skierowany do prezydenta list niektórych rodzin ofiar katastrofy smoleńskiej, aby to tragiczne wydarzenie jednak doczekało się pomnika w stolicy. List podpisany jest nie przez osoby z kręgu Antoniego Macierewicza, ale przez te, które dotychczas milczały, nie biorąc udziału w spektaklach rozwijających teorie spiskowe. Nieuchronnie nastąpi więc zwarecie dwóch koncepcji – pomnika ofiar katastrofy i pomnika prezydenta Lecha Kaczyńskiego na Krakowskim Przedmieściu. W polskiej polityce przyszło nowe, ale stare nie poszło.

1,5 mld złotych, a może więcej, powinna przynieść budżetowi aukcja częstotliwości 800 MHz, dzięki którym

operatorzy będą mogli łatwiej dotrzeć z internetem mobilnym najnowszej generacji (LTE) do użytkowników w całym kraju. Do wzięcia jest pięć bloków częstotliwości, jedna firma może kupić najwyżej dwa bloki. Walka rozegra się między największymi operatorami: Orange, T-Mobile i Polkomtelem. Minimalna cena za blok to 250 mln zł.

(PI)

Biedronka czy stonka?

Niech nikogo nie zwiedzie uśmiechnięta biedronka z logo sieci. To bardzo żarłoczny owad.



© 123 RF/ MK

JOANNA SOLSKA

Portugalska sieć znów ma problemy z wizerunkiem. Tym razem naraziła się warszawiakom, gdy okazało się, że słynne kino Femina, kupione wraz z kamienicą, w której się znajduje, przez Jeronimo Martins Polska, właściciela firmy Biedronka, miało zniknąć z kulturalnej mapy stolicy. Na jego miejscu, w samym centrum miasta, zamierzano uruchomić kolejny sklep Biedronki. W obronie kina na Facebooku złożyło jednak podpisy 25 tys. osób, a sprawa stawała się coraz głośniejsza i coraz bardziej kłopotliwa.

Z wizerunkiem Portugalczycy mają zresztą kłopoty od lat. Od czasu słynnego procesu, który z byłym pracodawcą wygrała kierowniczka sklepu w Elblągu Bożena Łopacka. Padły w nim ciężkie słowa: wyzysk, mordercza praca ponad siły za marne grosze, brak zapłaty za nadgodziny. Przez kilka ostatnich lat Jeronimo Martins usiłował ten wizerunek zmienić, poprawiając warunki pracy i podnosząc ludziom zarobki. Chwaląc się w mediach, że najniższa płaca w Biedronce wynosi dziś już ponad 2 tys. zł. Firma została nawet sponsorem piłkarskiej reprezentacji Polski.

Ale zarzuty o wyzysk znów padają. Ostatnio podczas manifestacji Solidarności pod Sejmem. Związkowcy w imieniu 55 tys. pracowników sieci dyskontów, która w Polsce rozrosła się do ponad 2,5 tys. placówek, żądali poprawy warunków pracy. Uważają, że z robotą, którą w innych placówkach o podobnej wielkości wykonuje 26 osób, w Biedronce musi poradzić sobie zaledwie 18. Związkowców wsparli członkowie ciągle działającego Stowarzyszenia Poszkodowanych przez Biedronkę.

W tej sytuacji firma, ratując twarz, zdecydowała się na gest symboliczny – kino Femina zostanie zachowane. Ale Biedronka też przysiądzie, obok. Wysoki urzędnik magistratu mówi: – *W myśl obowiązujących przepisów sklepy takie jak Biedronka mogą wciśnąć się wszędzie. Nawet na Trakt Królewski, co właśnie się stało.* Władze miasta mogą tylko prosić o bardziej dyskretne logo, żeby nie gryzło się z historyczną zabudową. Niemoc totalna.

Polska jest jedynym krajem w Unii Europejskiej, którego prawo nie panuje nad żywiołowym rozrostem sieci handlowych, zwłaszcza tzw. dyskontów. Nawet nie próbuje tego robić. O żadnym prymacie ładu przestrzennego nad interesem inwestorów mowy nie ma. Interes społeczny z prywatnym przegrywa

z definicji. Urzędnik tłumaczy to tak: – *Nie zezwolić na otwarcie dyskontu moglibyśmy tylko wtedy, gdyby miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego we wskazanym miejscu przewidywał np. park albo drogę. Jeśli jednak plan dopuszcza handel, może to być również dyskont.*

Polskie gminy planów zagospodarowania przeważnie nie mają. Zdołano je uchwalić zaledwie na jednej trzeciej powierzchni kraju. Co się dzieje, gdy inwestor chce postawić tzw. supermarket w miejscu ciągle nieobjętym planem? Ma jeszcze łatwiej. – *Obowiązuje zasada sąsiedztwa* – odpowiada wysoki urzędnik warszawskiego magistratu. Czyli jeśli za rogiem jest sklep tradycyjny, to miasto musi się zgodzić na następny. Dyskont również. Najczęściej ten tradycyjny wkrótce pada.

Gdyby więc Jeronimo Martins uparł się, że jednak zamieni całe kino Femina na dyskont, miasto nie miałoby nic do powiedzenia. Ewentualna odmowa mogłaby się zakończyć w Wojewódzkim Sądzie Administracyjnym, który przyznałby inwestorowi rację. Były takie przypadki. Bo za rogiem jest placówka Społem, czyli handlować w tej części miasta można. Władze miast nie są nawet w stanie przewidzieć, kiedy w centrum pojawi się kolejny supermarket. Kwitnie bowiem spekulacja działkami. Wykupują je osoby, które potem – za dużo wyższą cenę – odsprzedają sieciom. I nagle w mieście ląduje kolejny uśmiechnięty owad.

Dyskont w każdej gminie

Francuzi wystraszyli się ekspansji wielkich sieci już na początku lat 90. Od 1993 r. obowiązuje tam ustawa tzw. Loi Royer, wprowadzająca ograniczenia dla nowych dużych obiektów w celu ochrony przed upadłością małych firm handlowych. Późniejsze ustawy stawiały przed hipermarketami kolejne bariery, ustalając coraz bardziej szczegółowe warunki wydawania zezwoleń. Wielkie centra handlowe wyprowadzono poza miasto. Mimo to 80 proc. francuskiego handlu opanowały wielkie sieci. W przypadku Francji są to jednak sieci rodzime, u nas obce. Teraz błyskawicznie rozrastają się także w Polsce.

Gdyby mazurskie Olecko leżało we Francji, Portugalii czy Niemczech, handel w tym 15-tys. miasteczku zapewne wyglądałby inaczej. Tamtejsi inwestorzy u siebie najprawdopodobniej nie dostaliby zgody na otwarcie żadnej z trzech Biedronek, Lidlów ani Kauflandów. Żeby nie zniszczyły lokalnego handlu, jak stało się to w Olecku. Takich miasteczek jest w Polsce mnóstwo. Wszystkie przeżywają inwazję Biedronek. Lokalne sklepy padają jak muszki.

W miastach francuskich, mających mniej niż 40 tys. mieszkańców, na otwarcie obiektu handlowego powyżej 1 tys. m kw. musi wydać zgodę odpowiednia komisja. W Portugalii, czyli ojczyźnie właścicieli Biedronki, zgodę na budowę sklepu powyżej 2 tys. m kw. wydaje jej minister. Po uprzedniej akceptacji tamtejszego odpowiednika UOKiK (Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów). To dlatego Biedronki, które mnożą się w naszym kraju, w Portugalii są nieznane. W innych krajach Unii – także. Więc próbują podbić odległą Kolumbię.

W ojczyźnie Lidla, w Niemczech, budowę sieci kontroluje ustawa o zagospodarowaniu przestrzennym, a restrykcje utrudniające otwieranie supermarketów zaczynają się już w miastach poniżej 100 tys. mieszkańców. Na nieograniczoną handlową konkurencję wielkich sieci z lokalnymi firmami nie zezwala nawet liberalna Wielka Brytania. Także w trosce o wygląd miast.

W Polsce wolno wszystko, bo konsumenci – wyborcy głoszą nogami. Niby dlaczego – także dla władz samorządowych – interes drobnych sklepikarzy miałby być ważniejszy od interesu nabywców, którzy przede wszystkim chcą kupować tanio?

W Helu do niedawna największym sklepem była placówka polskiej sieci Polomarket. Kiedy w Jastarni otwarto Biedronkę, nawet mieszkańcy Helu wolą tam przejechać się po zakupy. W Biedronce jest taniej. W Polomarkecie się rozluźniło. Turyści nie przyglądają się pojemności butelek z napojami ani gramaturze poszczególnych produktów, porównują tylko ceny.

W Wesołej Zielonej do niedawna sieci nie było. Mieszkańcy dzielnicy robili zakupy w K&M lub Edhanie. Oba na supermarketach wyrosły z budek warzywnych. Odkąd, na zasadzie sąsiedztwa, pojawiły się dwie Biedronki, pierwszy padł Edhan. W K&M już nie ma kolejek do kasy...

Portugalskie Biedronki stały się symbolem polskiego handlu. Jeronimo Martins w 2013 r. przekroczył 32 mld zł obrotów. Stał się drugą firmą w Polsce, wyprzedza ją tylko Orlen. Zazdrości jej pozycji niemiecki Lidl, druga obok Biedronki sieć dyskontów w kraju; otworzył już u nas ponad 500 dyskontów. Ale to Biedronka, jako dyskontowy gigant, wyznacza trendy i do niej się wszyscy dostosowują. UOKiK nie widzi problemu, dopóki Biedronka rozwija się o własnych siłach. Niebezpieczeństwo monopolu dostrzegłby wtedy, gdyby Biedronka wykupiła Lidla. Ostatnio podobno przejęła część pierwszej w Polsce sieci spożywczej – MarcPolu Marka Mikuśkiewicza.

Patent na dyskont jest prosty. Asortyment ma być ograniczony (nie więcej niż 1–1,5 tys. produktów, podczas gdy w hipermarketach oferta nie może być mniejsza niż 9 tys. produktów), ale szybko rotujący się. Tylko artykuły naprawdę pierwszej potrzeby. Dlatego dyskontom tak zależy, by ulokować się w osiedlach i centrach miast, które do niedawna były domeną tradycyjnego handlu. Dyskonty wyspecjalizowały się w zbianiu kosztów pracy, ekspozycji, logistyki. Ba, do ubiegłego roku Biedronki nie przyjmowały nawet kart płatniczych, żeby zaoszczędzić na prowizjach. Wiele towarów produkowanych jest pod marką sieci, co także pozwala manipulować marżami, opakowaniami i jakością.

Szybki obrót, nawet przy stosunkowo niskich cenach, gwarantuje duży zysk. Zwłaszcza że wielką pokusą dla klientów są nieustanne promocje. Kupując tanio np. schab, nie zauważają, że inne ceny już tak konkurencyjne nie są. Dostawcy, którym zależy na współpracy z siecią, finansowy ciężar promocji muszą brać na siebie. To ich wykańcza, ale lecą jak cmy do światła, bo nie mają wyjścia. Inne „kanały zbytu” nie gwarantują skali sprzedaży. Siły są nierówne, a dysproporcja narasta.

Jeszcze w 2009 r. w kraju było 102,8 tys. sklepów ogólnospożywczych, obecnie – już tylko 78 tys. To głównie pojedyncze placówki, które wypchnąć z rynku najłatwiej. Dlatego ich właściciele, w obronie przed dyskontami, łączą się w tzw. sieci franczyzowe, czyli występują pod wspólnym logo, korzystając ze wspólnego systemu zaopatrzenia. Tak działa Lewiatan, który zrzesza 3 tys. niezależnych sklepów. Polskie sieci należące do tego samego właściciela, np. luksusowe delikatesy Alma czy aspirujący do wyższej półki Piotr i Paweł albo ekonomiczny Polomarket, skalą działania nie mogą się równać z sieciami. Najczęściej nie mają więcej jak kilkadziesiąt placówek w kraju.

Niezależne sklepy rodzime byskawicznie tracą klientów. Są wypychane z rynku artykułów spożywczych oraz drobnej chemii gospodarczej, bo w sprzedaży tych właśnie towarów specjalizują się sieci dyskontowe. Jeszcze w 2012 r. małe sklepy miały 45 proc. udziałów w tym rynku, ale według prognoz analityków z firmy Roland Berger w 2018 r. będzie to już tylko 38 proc. W tym samym czasie udział dyskontów wzrośnie z 22 do 31 proc. To tam głównie będziemy robić zakupy.

Śmieciowe ceny za śmieciowe jedzenie

Kilka lat temu, gdy w towarzystwie kamer na zakupy do Biedronki wybrał się Jarosław Kaczyński, uważano, że to sieć dla biednych, emerytów i rencistów. Ale Biedronka wgrzyzła się właśnie także w miasteczko Wilanów, czyli osiedle, na którym mieszkają młode, dobrze zarabiające lemingi. Z powodu swoich luksusowych mieszkań zadłużone także hipotecznie, co mocno złagodziło ich poczucie stylu. Biedronka w miasteczku Wilanów na brak klientów więc nie narzeka. Wolą tylko zakupy pakować w swoje torby. No i logo nad dyskontem musi być bardziej dyskretne.

Zakłady mięsne państwa P. przed kilkoma miesiącami upadły. Teraz rodzina P. zakupy też robi w sieci, która ich wykoń- ►